



**Janusz Szuber** (ur. w 1947 r.) – poeta. Wiersze pisał od końca lat 60., ale zadebiutował dopiero w 1994 r. Wydał zeszanście to-mów wierszy, m.in.: „Paradne ubranko” (1995), „Pan Dymiącego Zwierciadła” (1996), „Śniąc siebie w obcym domu” (1997), „Okragłe oko pogody” (2000), „Czertez” (2006), „Wpis do ksiąg wieczystych” (2009), „Powie-dzieć. Cokolwiek” (2011), trzy wybory: „O chłopcu miesza-jącym powidla” (1999), „Lek-cja Tejrzejusza” (2003), „Pianie kogutów” (2008) oraz książkę wspomnieniową „Mojość” (2005). Jest autorem kilku-dziesięciu szkiców literackich, rozproszonych w czasopismach i wydawnictwach zbiorowych. Pisuje limeryki. Tłumaczony na kilkanaście języków. Lau-reat Nagrody Fundacji Kultury (1999) i Nagrody im. Władysła-wa i Nelli Turzańskich (Toronto, 2000). Członek SPP i PEN Clubu. Mieszka w rodzinnym Sanoku.

# Janusz Szuber Tajemniczy pan Ursa i parę innych przygód

<b>Prolog</b>
<p>Uległa namowom wiernych wielbicieli. Niestety, krótka była ich uciecha. Weszli zandarmi z nakazem burmistrza. Ona zniknęła. Siedziałem na sofie z lekka nieprzytomny od tyłu przygód, wódki i jej czarnych poitoczoch. Szyby bieleją. Senni grotolazi opuszczamy podziemne portowe dzielnice. Cóż z tego, że zmyślone, mogły być prawdziwie. Galony błyszczą, kołysze korweta.</p>
<b>Tajemniczy pan Ursa</b>
<p>Dowodem na rzeczywiste istnienie pana Ursy była wdowa po nim i piętrowy murowany dom w wielkim zapuszczonym sadzie na południowym stoku parkowej góry, wszystko solidnie ogrodzone, siatką pomiędzy betonowymi słupami od frontu, reszta drewnianym parkanem, co świadczyło, że pan Ursa w swoim czasie musiał być człowiekiem względnie zamożnym. Samo brzmienie nazwiska i lokalizacja domu sprawiły, że na określenie czegośkolwiek w tej części miasta zwykło posługiwać się wskazaniem: koło domu pana Ursy, jakieś sto, dwieście metrów za lub przed domem pana Ursy, etc., etc.</p> <p>Nic więc dziwnego, że w mojej wyobraźni dziecka pan Ursa mógł być każdym, nigdy na odwrót. Posiadał ów szczególny status ontologiczny, jaki przysługuje bytom tajemniczym, na podobieństwo grzybni z rzadka manifestujących na zewnątrz swoją obecność i pełnię potencjalnych możliwości.</p> <p>Będąc jednym z nich, pan Ursa wykazywał się znamionami, które – niestannie pomnazane – zapewniły mu pewne miejsce w opowieściach układanych na poczekaniu dla paru zaufanych rówieśników albo mozolnie przez wiele godzin na użytek własny, albowiem w okresie życia, do którego przynależał pan Ursa, przymus wymyślania jeszcze skutecznie bronił przed nieuchronną świadomością, że to, co jest, jest tym, czym jest, i doskonale radzi sobie bez nas.</p>
<b>Jedzie Sobiepan</b>
<p><i>Jonatanowi Barkai</i></p>
<p>Półtoraroczny berbecę, na podrygującym kolanie dziadka galopowałem, w rytm znanej paru już pokoleniom wylczanki, za Panem, Chłopem i Żydem, sam – <i>hop – hyc</i>, gubiąc pakuneczki, jak choćby przybrudzoną tenisową piłkę, za dużą dla małych dłoni; na hasło: <i>aj! waj! bum!</i> asekurowany spadałem niby na podłogę, aby po sześćdziesięciu latach wstać, otrząpać spodnie i do tamtej wylczanki dolożyć kilka uciulanych po drodze figur i kupletów.</p>
<p>Jedzie Sobiepan na koniku sam, a za panem lis, jakby nigdy nic,</p>
<p>a w ogonie mysz kościelna, mizerota nie dla kota, każdemu zrzędzie ochota.</p>
<p>Jedzie Sobiepan na koniku sam, a za panem chłop na koniku <i>hop!</i></p>
<p>Błuźni, kto do kuźni wszedł i w bezdechu znalazł miech: chciał podkowę, dostał lemiesz. Cudzym grzechem swego nie mierz.</p>
<p>Jedzie Sobiepan na koniku sam, a za panem Żyd na koniku <i>hyc!</i></p>
<p>A za Żydem Żydóweczki pogubiły pakuneczki. <i>Aj! Waj! Bum!</i></p>
<p>Celnik owinięty kocem wąs smolisty ma na sztorc. Mysi pacierz mysz chroboce.</p>
<p>Jedzie Sobiepan, za panem Cygan. Czart w kropidle mieszka. Lis na miesiąc włazł.</p>

<b>Lekcje poezji</b>
<p>Trudno porachować teraz, ile razy byłem jej jedyną widownią, natarczywie domagającą się bisów, i matka, jak się domyślłam, nie bez satysfakcji prezentowała repertuar przygotowywany kiedyś na szkolne i miejskie uroczystości oraz ten prywatny, osobisty wybór, gdyż lubiła uczyć się wierszy na pamięć ot tak, bezinteresownie (w lamowanym amarantem kajecie z 1938 – Szymonowie, Słowacki, Skamandryci, Hłakowiczówna i, po kilkunastu niezapisanych stronach i blisko dwu dekadach, innym atramentem Baczyński).</p> <p>Uzdolniona wokalnie, mówiła i czytała poezję szczególnie czysto, dyskretnie akcentując muzyczność frazy i linię rytmu. Słuchałem, absolutnie nie rozumiejąc, na czym polega liturgia mowy związanej i o co tak naprawdę w tym idzie. Wystarczyło, że czar trwał, a jego sprawczynią była ona, inna inaczej, aniżeli przy oczywistych, powtarzalnych czynnościach, i kiedy nie-długo potem poszedłem do podstawówki, matka wymagała ode mnie nieporównanie więcej niż pani od polskiego. Poprawia-ny, gdzie należało, wielokrotnie powtarzałem przed nią wyku-ty na blachę tekst. Nie przeczuwałem, no bo niby skąd miało-by to przyjść, że dużo, dużo później będę nagrywał, odsłuchiwał i korygował na głos własne wiersze, dopóki nie osiągną pożą-danej formy. Zresztą, aż do matury ani mi w głowie powstało, że mógłbym kiedykolwiek uprawiać rzemiosło poety, albowiem, także dzięki matce, kult poezji szedł w parze z obawą przed, ła-twym do popelnienia, grzechem grafomanii.</p> <p>Kiedys wyjęła z szuflady w „carskiej komodzie” szarą ko-pertę i dała do przeczytania starannie wykaligrafowane utwo-ry dwóch, sporo od niej starszych, adoratorów z czasów liceal-nych, i własny amoryczny poemacik, opiewający spotkanie na wakacjach kleryka, efebą bijącego rekordy urody i sprawności fizycznej w stopniu najwyższym i do rytmu, na domiar owoc za-kazany dla trzynastoletniej autorki.</p> <p>– Nic tak nie płami kobiety jak atrament – śmiejąc się, mat-ka zacytowała popularny <i>bon mot</i>.</p> <p>Oile poemacik miał pewien urok i, mimo niezborności i nad-użytych klisz, był na swój sposób autentyczny, o tyle retory-ka erotyczno – funeralna obu panów, jak chociażby w dystychach kończących sążniste wyznania: „Gdy trzymam Twoją dłoń w mej dłoni, / to mogę patrzeć nawet w grób” albo: „Miłości czas zbyt szybko mija, / kto raz pokochał, ten gorycz pija”, czy wreszcie: „On musiał wracać w miasta gwar, / zdusić uczucia wiosennego żar”, w swoim zadęciu i niezamierzonym komizmie pobudzała wyłącznie do rechotu i przedrzeźniania nieznośnych metafor. Wszyscy trzej, obaj minstrele i kleryk, zginęli tragicznie w okre-sie wojny, i być może szyderstwa nastolatka, przechodzącego właśnie mutację, akurat tu były nie na miejscu.</p>
<b>Pelikan na tloczek, czyli ojciec znowu szybował nade mną</b>
<p>Ojciec, bez butów i skarpetek, w sztruksowych spodniach i flanelowej koszuli z podwiniętymi powyżej łokcia rękawami, w obie dłonie pochwycił zwisający sznur i razem ze śmigłowcem uniósł się do góry.</p>
<p>Jego ogromne stopy między obłokami prostopadle nade mną. Widać zwolnił uchwyt, bo niespiesznie, skosem spadał w jakieś –gdzieś, zresztą tak bardzo prawdziwe, że od razu wrócił</p>
<p>świeżo ogolony, w półkożuszku z UNRRA i w dobrze już wysłużonych mokasyinach. Ściągnął tissota z prawego przegubu, położył obok fajki na gzymsie pod lustrem.</p>
<p>Myl ręce długo i starannie, jak chirurg, żeby matka mogła przystąpić do manicure’u, opilowując w półkole paznokcie i wycinając skórki nad rozścielonym na kolanach tetra.</p>
<p>Skoro nawet po takiej przygodzie nie zmienił przyzwyczajeń, było to wystarczającym dowodem, że on to on, a nie żaden podstawiony sobowtór.</p>
<b>Obok. Dalej. Na koniec</b>
<p>Tym razem wyraźniej. Naprzód, na lewo od zlewozmywaka plastikowe butelki, spłaszczona seledynowa i walcowata bia-ła, z emulsją i płynem do mycia naczyń. Obok, w żółtej popiel-niczce, jak na spodku, czarny od środka i po wierzchu porceli-towy garnuszek. Dalej puste słoiki do góry dnem i położone na nich na opak blaszane wieczka. Na koniec dwa zbliżonej wiel-kości koszyki: w prostokątnym z lyka – rękawica żaroodporna i obie zapalniczki do gazu, w drugim, owalnym z wikliny – cze-try ostatnie jabłka od Witka z jego sadu po dziadkach na Lisznej i trzy jeszcze nienapoczęte perłowosine główki czosnku.</p> <p>Tyle razy i nic, tyle razy sięgam po coś tam, aż nagle to, co tu teraz po kolei, osobno i jednocześnie razem, to nic innego, jak dowód koronny w sporze z uczulonymi na nie-siebie hun-wejbinami.</p>

<b>Wiersz o kimś całkiem innym</b>
<p>Teraz, przekroczywszy połowę wieku przydzielonego mężczyznom przez statystykę,</p> <p>myśli, że mógłby być innym człowiekiem, ale to i tak niczego by nie zmieniło.</p> <p>Pierwsza kobieta w jego życiu, czupurnego wtedy szesnastolatka,</p> <p>przeszło dwa razy starsza od niego; doświadczona, wymagające ciało,</p> <p>i sztubacki łęk, że nie podola wyzwaniu. Podolał, biorąc potem mniejsze lub większe przeszkody.</p> <p>Długie i bolesne rozstawanie się z Bogiem dzieciństwa, chociaż czasami</p> <p>brakowało mu obojętnego bądź ciekawskiego ucha za kratkami konfesjonau.</p> <p>Pismo przestało być jedyne i święte i stało się jedną z wielu, niech tak będzie, czcigodnych ksiąg.</p> <p>Mozolne i chropawe budowanie własnego nareszcie, chciałby w to wierzyć, <i>Weltanschauung</i>.</p> <p>Patrzy na synów, zajętych przy komputerze grą w gwiazdne wojny, wspominając</p> <p>swój studencki wyprawę na Południe i Wschód, skąd przywiózł między innymi opowieść</p> <p>o dwóch braciach i nieszczęśliwej Deshurze, zasuszoną w przypisach do pracy magisterskiej.</p> <p>Przebiera się w dresy i sportowe obuwie: półgodzinny jogging alejami skweru.</p> <p><b>Bogom tej prowincji</b></p> <p>Bogom tej prowincji widać nie przeszkadza zamiana świętego kodeksu na komiks, to, że lokalni artyści nadali im rysy Diego Maradony i Bruce’a Lee. Ich krępe figury o ceglastych torsach w płytkich niszach przystanków autobusowych <i>ex voto</i> zdbiłą: kapsle na przemian ze skrawkami perkalu nanizane na żyłkę i dobrze już napoczęte butelki Powerade z czarnym ustnikiem. Byłe od czegoś w niczym zacząć, dla nich pracują graficzarze w bejsbolówkach daszkim do tyłu, z komórką w jednej, sprajem w drugiej ręce, wzdłuż muru na rolkach, retardacje chóru i upór orantów redukując do niezbędnego minimum. W tym t u bez właściwości i jakichkolwiek innych punktów zaczepienia.</p> <p><b>Lutherbrodt</b></p> <p>Od kiedy zażywam pewien lek tak zwanej nowej generacji i stopniowalny termin <i>bariera immunologiczna</i> przybrał konkretną restrykcyjną postać, co oznacza kolejne ograniczenia w relacjach z egzystencją, uważność, która, jak mi parokrotnie wyjaśniano, cechuje pokąźną część moich wierszy, wróciła na zasadzie bumerangu, korygując nieoczekiwanie domenę liryczną.</p> <p><b>Po dysze na browar, bo ledwo dycha chór</b></p> <p>Na stary rok przyszli i błota nanieśli. Od prysznicza stronią, źle im się kojarzy.</p> <p>Lulajże, lulajże, a pieluch nie rachuj, anieli wypiorą, każda będzie jak śnieg.</p> <p>Pruski błękit, ochra. Wól o zerdź się czochra. Jak przyszli, tak poszli. Czas po nich wywietrzyć.</p> <p>Pastorałka mialka, tu żółta, tam białka. Imbir z cynamonem. Nomen omen. Amen</p>
<b>Trzecia tajemnica</b>
<p>Trzecia tajemnica szuflady mojej matki (o poprzednich pisa-łem przy innej okazji) dla mnie ówczesnego oznaczała bezspornie pasowanie na dorosłość: rysunki Mai Berezowskiej, na któ-rych to nieodmiennie krzepcy i rozmarzeni trubadurzy i tylko krzepcy ich giermkowie w zdradliwych trykotach i kusych ka-fanach, każdy z właściwym mu atrybutem, byli, czym byli, nic dodać, nic ująć, a damy i pośredniczące w zalotach dwórki wy-sypywały z głębokich dekolotów nieupilnowaną obfitość, tak że wzajemne szczodrości obydwu pici szły łąb w łąb.</p> <p><b>Niepełne dwie minuty na trzydziestosiedmioletym ekranie</b></p> <p>Uczestnik toksycznego miłosnego trójkąta, bladoliccy mężczyzna, opasany sznurem, próbuje pociągnąć za sobą, uparcie drepcząc w miejscu, wyrwany spod parkietu dublujący się kondukt:</p> <p>dwóch <i>padres</i> w kapeluszach na podłodze na wznak i dwa tuż obok siebie otwarte fortepiany, w których, pyskami do klawiatury a ogonami do <i>padres</i>, leżą dwa nieżywe muły albo osły.</p> <p>Niepełne dwie minuty metafizycznej hucpy na trzydziestosiedmioletym ekranie. „Pies Andaluzijski”. Kopia ściągnięta z Internetu, nie wiedzieć czemu z napisami po rosyjsku.</p> <p>W 1929, kiedy Buñuel nakręcił pierwszy film, moja matka miała siedem lat, a mój ojciec cztery lata więcej i poszedł do gimnazjum. Oboje solidarnie zmarli u szyćku XX wieku.</p> <p>Przyciskam wyłącznik na pilocie. Przyimki, liczebniki, muzyka gramatyki! Zemperek w kostkę. <i>Się do się</i> przed pustym lustrem przymierzamy na opak.</p>
<b>Mów, co ci ślina na język przyniesie</b>
<p><i>Zbigniewowi Mentzlowi</i></p>
<p>Numer nad bramą zgadał się, to tu, ale przycisk domofonu ani drgnął. Sięgnąłem do kieszeni po komórkę, chcąc zawiadomić, że jestem, jak zawczasu było ustalone. Niestety, przez nieuwa-gę zabrałem inny, zupełnie rozładowany aparat.</p> <p>Mógłbym przysiąc, że z wnętrza domu dobiegł odgłos win-dy, metaliczne szczęknięcie domykanie kraty. W witrażowych szybkach przyszło mętne światło i prawie natychmiast na po-wrót zaczęło pulsować. Taksówka, z której wysiadłem zaledwie parę minut wcześniej, podjechała z przeciwnego kierunku, wi-dać zawróciła w jednej z bocznych uliczek. Kierowca wyciągnął do mnie rękę, potrząsając banknotem: „Zapomniał pan resz-ty, proszę nie zaprzeczać. Od gościa tego domu nie przyjąłbym napiwku, to moja żelazna zasada”.</p> <p>Raz i drugi szarpnąłem za mosiężną gałkę. Nic, niczego, ni-kogo. Potem były już tylko domysły, z sekundy na sekundę co-raz bardziej niedorzeczne.</p>
<b>Bez dalszego ciągu</b>
<p>Przytrzymać się czegoś, zaczepić się o coś. Na przykład o hak, na haku. Dobrze, niech stanie się hak. Ale na hakach hamak, kołysanie, znowu nie to. Morska sól haftuje więzły herb korsarzy.</p>

